

GOŚC
NIEDZIELNY



ŻYCIE W KOMUNISTYCZNYM KRAJU
Polacy w latach 1944–1989

Ucieczka z zamkniętego kraju



ŚCIŚLE TAJNE

WSTĘP

Powojenna Polska, odcięta od wolnego świata żelazną kurtyną, miała stać się komunistycznym rajem. Wieże strzelnicze, druty kolczaste, pasy zaoranej ziemi – tak wyglądały granice pilnie strzeżonego kraju. A wszystko to po to, by Polacy nie wybierali życia na „zgniłym Zachodzie”. Komunistyczne państwo odebrało obywatelom prawo do swobodnego opuszczania kraju, dowolnie podejmując decyzje o przyznaniu paszportu. Utrudnienia związane z wyjazdem z kraju powodowały, że niejednokrotnie jedyną szansą pozostawała próba nielegalnego przekroczenia granicy. W tym celu używano skrytek w pociągach, kajaków, samolotów... Ucieczki podejmowali



JOZEF WOLNY

zarówno zagrożeni aresztowaniem żołnierze niepodległościowego podziemia, funkcjonariusze aparatu władzy, jak też zwykli ludzie spragnieni wolności, przygody czy lepszego życia. Niektórzy, wyjeżdżając legalnie na Zachód, odmawiali powrotu do kraju. Inni z kolei do takiego wyjazdu byli przymuszani przez władze. W ten sposób pozbywano się niewygodnych obywateli zarówno w 1968 r., jak i po wprowadzeniu stanu wojennego wobec działaczy „Solidarności”. W czasach, gdy granice państw nie stanowią już większej bariery, warto pamiętać momenty, w których ludzie ryzykowali życie, by znaleźć się w lepszym świecie.

Adam Dziurok

Nie mając szans na dalszą walkę, część żołnierzy podziemia próbowała przebić się na Zachód. Często były to jednak próby nieudane.

W matni

partyzanci Kajetana Samborskiego, „Teściowej”. W akcji brali udział „Teściowa”, jego brat Stanisław Samborski „Orlik” oraz Zbigniew Zarębski „Kanciarz”. Podejmując tak ważną dla nich decyzję, nie wiedzieli, że w tym okresie granica z Austrią była jeszcze trudniejsza do przekroczenia, zwłaszcza że informacje o próbujących „nie wzbudzać podejrzeń” obcokrajowcach szybko docierały do penetrującej pogranicze miejscowej bezpieki. Już po kilku dniach marszu na początku listopada 1948 r. grupę „Teściowej” otoczyła czechosłowacka służba bezpieczeństwa. Doszło do walki, podczas której zginęli Kajetan Samborski oraz Zbigniew Zarębski. Ranny „Orlik” przekazany został stronie polskiej tylko po to, żeby rodzimi komuniści mogli zamordować go 15 lipca 1949 r. w Krakowie.

Ubecka prowokacja

Dzień po egzekucji Samborskiego doszło do jednej z najbar dziej spektakularnych prowokacji UB w Małopolsce, mającej na celu

likwidację oddziału partyzanckiego „Wiarusy”. Zwodzeni perspektywą wyjazdu oraz zmęczeniu kilkuletnią osamotnioną walką żołnierze podziemia zgodzili się opuścić ich gorczański kryjówek i 16 lipca 1949 r. wsiadli do podstawionego przez bezpiekę samochodu, który miał być pierwszym etapem ich ucieczki za granicę. Zamiast do „brytyjskiej ambasady” zawiózł on ich jednak prosto na dziedziniec WUBP w Krakowie. Już na miejscu ubek odgrywający rolę kierowcy wyprowadził z auta dowódcę oddziału Stanisława Ludzię „Harnasza”, którego umieścić miał w odpowiednio przygotowanym do tego celu pokoju. Pomylił się jednak i wprowadził go do pomieszczenia, w którym byli funkcjonariusze bezpieki, a na ścianach wisiały komunistyczne portrety. Wywiązała się strzelanina, do której przyłączyli się przebijający jeszcze na dziedzińcu pozostali dwaj partyzanci. Wymianę ognia przeżył tylko „Harnaś”. Kat więzienny zastrzelił go pół roku później, 5 stycznia 1950 r.

Dawid Golik

o śmierci Józefa Kurasia „Ognia” w lutym 1947 r. duża część jego żołnierzy ujawniła się, natomiast na czele kilkunastu nieugiętych stanął pochodzący z Wileńszczyzny Antoni Wąsowicz „Roch”. Nawet jednak tak doświadczony jak on partyzant uznał, że trudno będzie w ówczesnych warunkach kontynuować walkę, zwłaszcza że na tropie jego ludzi była już bezpieka. Postanowił wówczas uciekać z Polski i przez zieloną granicę przedostać się na Zachód.

Szlakiem przemytników

Na początku maja 1947 r. Wąsowicz, wraz z Adamem Domalikiem „Kowbojem” oraz Edwardem Superganem „Zorzą”, wyruszył przez tereny Czechosłowacji do okupowanej przez Anglosasów części Austrii. Przewodnikiem był Supergan, który wcześniej wielokrotnie przynosił z terenów słowackich różnego rodzaju towary do Polski. Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z planem. Partyzanci bez problemu przeszli przez terytorium Czechosłowacji i przedostali się do sowieckiej strefy okupacyjnej w Austrii. Tam jednak 12 maja aresztowała ich miejscowa żandarmeria wraz z NKWD. Wszyscy trzej zostali wysłani do Polski, gdzie czekało ich wielomiesięczne brutalne śledztwo. Jak wspominał Supergan: „przy przesłuchaniach bito nas. Widziałem jak dwa razy niesiono »Rocha« z przesłuchań. Był nieprzytomny. Dźwigali go za ręce i nogi. Raz zaś widziałem, jak ciągnęli go po schodach, że głowa oddawała. Myślałem, że nieżywy”. Wąsowicza i Domalika skazano na karę śmierci. Supergan uratował życie, ale trafił na wiele lat do więzienia.

Podobną jak „Roch” drogę ucieczki na Zachód wybrali rok później działający na Podhalu



Żołnierze grupy „Teściowej”: Od lewej Stanisław Samborski, Kajetan Samborski, Henryk Machała, Zbigniew Zarębski

Ślub Wojtka odbył się

W środku nocnej przeprawy łódką przez graniczną rzekę Morawę, podczas szalejącej burzy, mała Oleńka nagle powiedziała: „Ja chcę siusiu”. Tym stwierdzeniem rozładowała napiętą do granic wytrzymałości nerwowej atmosferę.

Tadeusz Chciuk, absolwent prawa na lwowskim uniwersytecie, instruktor harcerski z Drohobycza, związał się z konspiracją w październiku 1939 r.

Biały kurier

Na początku stycznia 1940 r. po raz pierwszy przeszedł nielegalnie granicę w Karpatach, a potem przez kilka miesięcy jako „biały kurier” utrzymywał łączność między okupowanymi przez Sowieców Kresami a wojskową bazą „Romek” w Budapeszcie. W maju 1940 r. wstąpił do Armii Polskiej we Francji, po jej klęsce przedostał się do Wielkiej Brytanii. W grudniu 1941 r. w drugiej ekipie skoczków został jako emisariusz rządu zrzucony na spadochronie w okupowanej przez Niemców Polsce. Za okazane wówczas męstwo został odznaczony Virtuti Militari. Po dramatycznej, trwającej rok, nielegalnej podróży przez całą Europę, w czerwcu 1943 r. wrócił do Londynu. W kwietniu 1944 r. po raz drugi został zrzucony do Polski jako emisariusz władz. Opiekował się podczas tej misji także specjalnym wysłannikiem z Londynu – Józefem Hieronimem Retingerem. 1 sierpnia powrócił z nim do Anglii.

Po zakończeniu wojny pomagał Retingerowi, jako sekretarz, w przekazywaniu do Polski sprzętu z demobilu. Gdy kończyła się jego wizyta w zrujnowanym kraju, której celem było zorientowanie się w dalszych kierunkach pomocy, 3 kwietnia 1946 r. został aresztowany przez UB pod zarzutem szpiegostwa. Prawdziwym celem bezpieki było skłonienie go do współpracy – po kilku tygodniach został zwolniony. Potajemnie utrzymywał kontakt ze Stanisławem Mikołajczykiem i PSL. W krakowskim mieszkaniu Chciuków zatrzymywał się podczas



W Innsbrucku, od lewej: Elżbieta Unger, Ewa Chciuk, Wacław Felczak (profilem), Tadeusz Żelechowski z Oleńką Chciuk, Jerzy Niemczycki

swoich misji w 1946 i 1947 r. emisariusz władz RP na uchodźstwie Wacław Felczak. Przyjaźnili się jeszcze w czasie wojny.

Do wolnego świata

Chciuk był przekonany, że po sfalszowaniu wyborów przez komunistów w styczniu 1947 r. najbliżsi współpracownicy Mikołajczyka będą musieli opuścić kraj. Dlatego obaj przyjaciele omówili sposoby ewentualnej ucieczki Chciuków za granicę, a Felczak przebywający na co dzień w Paryżu obiecał mu pomoc. W grudniu 1947 r. przybył z Francji do Polski Andrzej Chciuk i ustalił z bratem hasła listowne. W sierpniu 1948 r. Felczak dostał się do podzielonej na strefy okupacyjne Austrii na podstawie przerobionego paszportu francuskiego. Miesiąc później, postępując się fałszywym austriackim dowodem osobistym, znalazł się w Wiedniu.

Umówiony przewodnik przeprowadził go łódką przez graniczną rzekę Morawę na północ od Wiednia do Czechosłowacji. Dotarł następnie do Bratysławy i nadał do Paryża umówiony telegram, że „ślub Wojtka odbył się”. Po przesłaniu go do Polski przez Andrzeja Chciuka, Tadeusz otrzymał sygnał, że jego przyjaciel oczekuje go w stolicy Słowacji.

Czas był najwyższy – od kilku tygodni zastępca szefa WUBP w Krakowie mjr Józef Światło coraz bardziej natarczywie domagał się, by Chciuk podjął współpracę z UB. W końcu postawił ultimatum: współpraca lub aresztowanie, termin ultimatum miał upłynąć 1 października. We wrześniu Chciukowie opuścili potajemnie dom i zamieszkali u rodziców Tadeusza koło Bielska. Do Bratysławy dotarli z niespełna dwuletnią córeczką, ale także w towarzystwie zagrożonych aresztowaniem dwóch cichociemnych Tadeusza Żelechowskiego i Jerzego Niemczyckiego oraz łączniczki AK Elżbiety Unger. Całą grupę, do której dołączył jeszcze znajomy Słowak, na początku października Felczak przeprowadził do Austrii. Gdy znaleźli się w Innsbrucku, mogli wreszcie cieszyć się wolnością.

W 1952 r. Chciuk podjął pracę w Radiu Wolna Europa, zakończył ją jako wicedyrektor Sekcji Polskiej. Działał w emigracyjnym PSL, był jego ostatnim prezesem. Wielkie uznanie zdobył jako pisarz. Gdy na przełomie 1959 i 1960 r. próbowano go nakłonić do współpracy z SB, jej wysłannikowi odpowiedział, że uciekł z najdroższego mu kraju, by być wolnym i walczyć, żeby Polska i cały świat nie były komunistyczne.

Wojciech Fraziek

ARCHIWUM TADEUSZA CHCIIUKA-CIEBA

LOS STRACENCÓW



Oddział „Żandarmerii” PPAN, w górnym rzędzie stoją: Stefan Bałicki „Bylina” (trzeci od lewej), ks. Władysław Gurgacz „Sem” (czwarty), Stanisław Pióro (piąty), Adolf Cecur „Lew” (szósty). W dolnym rzędzie kłęcz Michał Cabak „Kuna” (pierwszy od lewej)

Zabić ich

Celem komunistów było nie tylko wymuszenie posłuszeństwa wobec reżimu, ale także wymordowanie patriotycznej elity narodu.

Do 1947 r., dzięki wsparciu Sowietów i rozpętaniu powszechnego terroru, zdołali oni rozbić ogólnopolskie niepodległościowe organizacje konspiracyjne. Większość działających wciąż grup i oddziałów liczyła od kilku do kilkudziesięciu osób.

Do Andersa

Konspiratorzy zdawali sobie sprawę, że oczekiwany konflikt zbrojny – III wojna światowa – między zachodnimi aliantami a Związkiem Sowieckim nie wybuchnie. Rozumieli, że trwanie w podziemiu może przynieść tylko honorową śmierć, ale nie da się

w kilkanaście osób obalić reżimu w Polsce i pokonać sowieckiego imperium. Coraz więcej z walczących decydowało się na ucieczkę na Zachód. Najczęściej po to, by tam czekać na przyjąwszy moment, by raz jeszcze włączyć się w walkę o niepodległą Polskę. Komuniści nie zamierzali jednak pozwolić im uciec. Dzięki doskonałym metodom pracy z agenturą uderzali w tych, którzy usiłowali wyostać się z poljańskiego Polski. Legendarni dowódcy partyzanci wpadali w ręce bezpieki w chwili, gdy podjęli już decyzję o zaniechaniu walki w kraju. Józef Kuraś „Ogień” zginął w wyniku zdrady, gdy zszedł z gór, zamierzając najprawdopodobniej przedostać się do Austrii, a potem do wolnego świata. Hieronim Dekutowski „Zapora” – również zdradzony – został ujęty tuż przed przekroczeniem granicy i pobestialskim śledztwie zamordowany. Czasem jednak komuniści decydowali się na bardzo skomplikowane gry operacyjne po to, by

wymordować żołnierzy niepodległościowego podziemia.

O niepodległość

Jesienią 1947 r. na Sądecczyźnie Stanisław Pióro ps. „Emir”, „Mohort” utworzył konspiracyjną Polską Podziemną Armię Niepodległościowców. Miała wychowywać kadry, które zostałyby wykorzystane wtedy, gdy pojawiłaby się szansa na odzyskanie niepodległości. Organizacja szybko zwróciła na siebie uwagę bezpieki. Rzucono przeciw niej kilkunastu funkcjonariuszy z powiatowego UB w Nowym Sączu, nadzorowanych przez ubeków z wojewódzkiego urzędu w Krakowie. Kolejne aresztowania sprawiły, że jesienią 1948 r. wszyscy pozostali na wolności konspiratorzy dołączyli do zbrojnego oddziału PPAN – „Żandarmerii”. W lesie przebywało wówczas około dwudziestu ludzi, dowodzonych przez Pióro i otoczonych duchową opieką kapelana – ks. Władysława Gurgacza. Rok później, zagrożony obławami przeprowadzanymi w okolicach Hali Łabowskiej – gdzie stacjonowali partyzanci – oddział podzielił się na trzy grupy. Planowano zdobycie pieniędzy na ucieczkę na Zachód. Pierwsza z grup – dowodzona przez Stefana Bałickiego „Bylinę”, w której był ks. Gurgacz – została rozbita w Krakowie w lipcu 1949 r. w czasie nieudanej akcji rekwizycyjnej. Druga została zlikwidowana na skutek zdrady kilkanaście dni później.

Śmierć na obczyźnie

Ocalał jedynie oddział „Emira”, którego żołnierze zdecydowali się przejść przez Czechosłowację do Austrii. Partyzanci nie wiedzieli, że byli już wówczas osaczeni przez bezpiekę. Polscy ubecy współpracowali z czechosłowackimi, a przewodnik, mający przeprowadzić żołnierzy PPAN, był podstawiony. Po przejściu granicy partyzanci, mający tylko kilka pistoletów, w cywilnych ubraniach wsiadli do autobusu. Okazało się jednak, że była to zasadzka bezpieki, a po ujechaniu kilku kilometrów kierowca – funkcjonariusz czechosłowackiej służby bezpieczeństwa – wyskoczył z wozu, w którym zablokowane zostały drzwi. Funkcjonariusze, nadzorowani przez polskich ubeków, otworzyli następnie ogień w kierunku autobusu. Od kul zginęli Adolf Cecur „Lew” i Michał Cabak „Kuna”. Pióro – by nie wpadł w ręce bezpieki – popełnił samobójstwo. Pozostali ranni partyzanci zostali ujęci. Poprowadzonym w Krakowie, połączonym z torturami, śledztwie zostali skazani na kary wieloletniego więzienia.



Stanisław Pióro „Emir”, „Mohort”

Desperacki krok

Ucieczka Stanisława Mikołajczyka zamknęła nadzieję na możliwość działalności legalnej opozycji w bloku komunistycznym.

Stanisław Mikołajczyk, przywódca opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego, a do sfałszowanych wyborów wicepremier w rządzie Polski, jesienią 1947 r. został ostrzeżony, że czeka go proces.

Wcześniej aresztowano czołowych polityków opozycji na Węgrzech i w Bułgarii, przywódca bułgarskiej partii agrarystycznej Nikoła Petkow został skazany na śmierć. Działacze PSL nieustannie padali ofiarami terronu sianego przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i bojówki Polskiej Partii Robotniczej, byli zastraszani, aresztowani, bici i zabijani. W sierpniu i wrześniu zakończyły się ciężkimi wyrokami pokazowe procesy: peeselowskiej „Gazety Ludowej” i tzw. proces krakowski działaczy WiN i PSL. W prasie reżimowej od dawna trwała nasilająca się nagonka na PSL i samego Mikołajczyka.

Ostatnie ostrzeżenie

Mikołajczyk, który dotąd nie uważał gróźb pod swoim adresem za poważne, teraz miał rzeczywiste powody do niepokoju – w krajach, w których ZSRR ustanowił posłuszne sobie rządy, opozycja była bezlitośnie zwalczana. Ostrzeżenie było wiarygodne – w czerwcu 1947 r. kierownictwo PPR postanowiło oskarżyć Mikołajczyka o zdradę, uzgodniono już z Mołotowem plan wytoczenia mu procesu pokazowego. We wrześniu Biuro Polityczne KC PPR postanowiło spowodować pozbawienie Mikołajczyka immunitetu posła Sejmu Ustawodawczego.

W początku października Mikołajczyk dowiedział się, że podczas zbliżającej się sesji sejmowej stanie wniosek o „wydanie sądowi” jego i innych czołowych posłów PSL. W piątek 17 X 1947 r. Mikołajczyk wysłał do ambasady USA swojego współpracownika Mieczysława Dąbrowskiego z prośbą, by odwiedził go II sekretarz ambasady William Blake. Tego samego dnia do domu



26 listopada 1947 r. Stanisław Mikołajczyk witany w Nowym Jorku po swej ucieczce z Polski

Mikołajczyka przy ulicy Kieleckiej na warszawskim Mokotowie przybył I sekretarz ambasady USA George Andrews pod pozorem kurtuazyjnej wizyty. Mikołajczyk miał mówić o grożącym mu niebezpieczeństwie, wyraził obawę, że proces zakończy się wyrokiem śmierci, i poprosił o pomoc w wydstaniu się z kraju. Wieczorem dyplomaci USA naradzili się nad sposobami uratowania Mikołajczyka i zdecydowali, by w sprawę wtajemniczył też ambasadę Wielkiej Brytanii. Nazajutrz, w sobotę 18 X, Amerykanie z Brytyjczykami omówili trzy plany potajemnego wywiezienia Mikołajczyka z kraju: do amerykańskiego sektora Berlina, przez Czechosłowację i drogą morską przez Gdynię. Andrews przedstawił je Mikołajczykowi, który postanowił uciekać przez Gdynię.

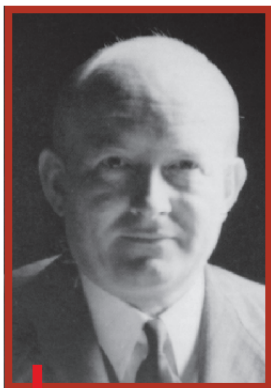
Plan ambasadora Blake'a

W niedzielę 19 X Blake uzgodnił z Mikołajczykiem szczegóły ucieczki. W poniedziałek 20 X Mikołajczyk poprowadził jeszcze obrady klubu poselskiego PSL i wrócił do domu; w międzyczasie w zaufaniu powiedział o planowanej

ucieczce niektórym współpracownikom: Stefanowi Korbońskiemu, Kazimierzowi Bagińskiemu i Wincentemu Bryi, a także Dąbrowskiemu, Pawłowi Zaleskiemu oraz swojej sekretarce i towarzyszkę życia, Marii Hulewiczowej. Wieczorem, pożegnany przez Hulewiczową, Zaleskiego i nieświadomego sytuacji posła Franciszka Wójcickiego, Mikołajczyk wyszedł ze swojego domu i kilkaset metrów dalej, w alei Niepodległości, wsiadł do ciężarówki z brytyjską pocztą dyplomatyczną. Wóz, mimo awarii i kontroli po drodze, nad ranem 21 X dotarł do Gdyni. Niedługo później Mikołajczyk został wprowadzony na pokład brytyjskiego statku „Baltavia”, który natychmiast odplynął.

Ucieczka Mikołajczyka wyszła na jaw najpóźniej 24 X 1947 r., następnego dnia posłowie PSL powiadomili premiera Cyrankiewicza o jego „zaginięciu”; on sam znalazł się w Wielkiej Brytanii 3 XI. Jego towarzysze musieli uciekać na własną rękę. Korboński, Bagiński i Zaleski zdołali wymknąć się z kraju. Hulewiczowa, Bryja i Dąbrowski zostali aresztowani na Słowacji i wydani polskim władzom bezpieczeństwa. Aresztowano też osoby pomagające w ucieczce Hulewiczowej i Korbońskiemu, wśród nich był Eugeniusz Gąsienica-Sieczka, przewodnik tatrzański, który z maltretowanymi podczas śledztwa zmarł w więzieniu mokotowskim.

Franciszek Dąbrowski



Prezes PSL Stanisław Mikołajczyk

ALBUM LICZNIERZY Z PRL. KATOWICE-WARSZAWA 2009

TAJEMNICA ŚWIATŁY

Ucieczka Józefa Światły wstrząsnęła władzą i wywołała szok w społeczeństwie.

Zaledwie podpułkownik i tylko wicedyrektor departamentu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, dysponował jednak obszerną wiedzą o aparacie bezpieczeństwa, a przede wszystkim o życiu ludzi ze szczytów władzy i stosunkach, jakie między nimi panowały. Była to wiedza o dużej sile rażenia.

Członek elity

Światło (właściwie Izaak Fleischfarb) całkowicie odpowiadał stereotypowi członka komunistycznej elity władzy z lat 1944–1956: urodzony w 1915 r. w niezbyt zamożnej rodzinie żydowskiej, jeszcze jako nastolatek, bez wykształcenia i zawodu, zaangażował się w działalność w nielegalnym ruchu komunistycznym i dwukrotnie był aresztowany. W 1939 r., po kampanii wrześniowej, w której brał udział jako szeregowiec, schronił się na ziemiach zajętych przez Związek Sowiecki, co uratowało mu życie, choć przez pewien czas, nie z własnej woli, „rabął lasy” pod Uralem. W 1943 r. wstąpił do Armii Berlinga, brał udział w bitwie pod Lenino, a we wrześniu 1944 r. w walkach o Pragę. Tu, w stopniu podporucznika, skończył swój szlak bojowy, gdyż został skierowany do bezpieki. Najpierw był pomocnikiem sowieckiego NKWD (m.in. brał udział w zatrzymaniu Wincentego Witosa), potem zajmował odpowiedzialne stanowiska w UB w Olsztynie i Krakowie. Jesienią 1948 r. ściągnięto go do Warszawy do pracy w specjalnej komórce, znanej później jako X Departament, która miała zajmować się wrogami wewnętrznymi w samej partii komunistycznej. Głównym jej zadaniem było „upolowanie” Gomułki.

Brutalny i pomysłowy

Światło miał opinię dobrego „operatywnika”. Był bezwzględny, brutalny, zrzeczny i pomysłowy. Jego specjalnością były aresztowania. To on osobiście zatrzymał m.in. Gomułkę, Spychalskiego, Żymierskiego i Amerykanina Hermanna Fielda; asystował przy aresztowaniu prymasa Wyszyńskiego. Podlegał mu obiekt o kryptonimie „Spacer”, czyli tajne więzienie X Departamentu w Miedzeszynie pod Warszawą. Nadzorował setki śledztw, nie wahając się przed używaniem przemocy, przesłuchiwał dziesiątki więźniów, zlecał zakładanie podsłuchów i kontrolę prywatnej korespondencji, werbował tajnych współpracowników. Opracowywał plany przyszłych procesów i kompletował listy podejrzanych. A cokolwiek w samym X Departamencie nie brakowało konfliktów, powstających głównie na tle personalnych

Zausznik znika

rywalizacji, pozycja Światły była bardzo mocna, gdyż cieszył się zaufaniem nie tylko przełożonych, ale także Bieruta i Bermiana, czyli osób z najściślejszego centrum władzy. O stopniu tego zaufania może świadczyć fakt, iż wysyłany był na procesy przywódców komunistycznych Węgier (Rajka w 1949 r.) i Czechosłowacji (Slansky'ego w 1952 r.), z których składał sprawozdania dla kierownictwa partyjnego.

Dlaczego uciekł

Z niektórych dokumentów wynika, iż w końcu 1952 r., na tle narastającego w Związku Sowieckim antysemityzmu, Światło zaczął przeżywać jakieś rozterki, jednak nie wydaje się, aby zmniejszały one jego gorliwość.



Józef Światło (Izaak Fleischfarb)

Dopiero po śmierci Stalina (5 marca 1953 r.) i w związku z pojawiającymi się w Moskwie tendencjami do szukania odpowiedzialnych za zbrodnie systemu, a szczególnie po niespodziewanym aresztowaniu Ławrientija Berii, wieloletniego nadzorca aparatu bezpieczeństwa, Światło zaczął żywić obawy, iż ludzie bezpieki staną się kozłami ofiarnymi. Choć nie udało się do tej pory stwierdzić, czy przygotowywał się do ucieczki, niewątpliwie znajdował się w stanie psychicznej gotowości do porzucenia komunizmu, a tym samym uniknięcia odpowiedzialności. Okazja nadarzyła się na początku grudnia 1953 r., gdy wyjechał służbowo do NRD, i skutecznie z niej skorzystał:

5 grudnia, podczas zwiedzania Berlina Zachodniego, zmylił swego towarzysza podróży, zniknął mu i oddał się w ręce Amerykanów. W Warszawie przeważała opinia, iż został porwany, pocieszano się przekonaniem, iż tak wypróbowany towarzysz nie zdradzi, a żona otrzymywała regularnie dyrektorskie pobory.

Tymczasem po wielomiesięcznych przesłuchaniach Amerykanie zdecydowali się na ujawnienie obecności Światły w Waszyngtonie, zaś on zaakceptował pomysł wzięcia udziału w kampanii propagandowej. Rozpoczęła się ona 28 września 1954 r. na falach Radia Wolna Europa, zaskakując całkowicie szefostwo bezpieki i przywódców partii. W ponad 140 wielominutowych audycjach, zatytułowanych „Za kulisami bezpieki i partii”, Światło niewiele mówił o sobie i o tym, co sam robił. Obszernie natomiast opowiadał o torturach i metodach śledztw, o warunkach w więzieniach, o całkowitej zależności od Moskwy, o fałszowaniu wyborów. Ujawnił istnienie X Departamentu i jego zadania. Przede wszystkim jednak mówił o ludziach: Bierucie, Bermianie, Ochabie, Cyrankiewiczu, o własnych zwierzchnikach Radkiewiczu, Mietkowskim i Romkowskim, o sowieckich doradcach.

Naród się dowiedział

Relacje Światły wywarły piorunujące wrażenie i były powszechnie słuchane, a w lutym 1955 r. zrzucano nad Polską przy pomocy balonów kilkaset tysięcy egzemplarzy broszury z fragmentami audycji. Rządząca ekipa musiała na to zareagować. Stosunkowo szybko dokonano głębokiej reorganizacji aparatu bezpieczeństwa, wymieniono niemal całe jego ścisłe kierownictwo, usunięto z bezpieki kilku najbardziej skompromitowanych funkcjonariuszy, a dyrektor departamentu śledczego został aresztowany. Wolność odzyskał Gomułka i większość aresztowanych komunistów, warunki w więzieniach uległy wyraźnej poprawie, drastycznie spadła liczba nowych aresztowań, kurczyła się liczba tajnych współpracowników. Nie był to przewrót, bo bezpieka pozostała aż do końca istnienia systemu komunistycznego jego arcyważnym filarem, niemniej była to wyraźna zmiana na lepsze w porównaniu z czasem, gdy sam Światło panoszył się w pokojach przesłuchań.

Po pewnym czasie uciekinier zniknął z mediów, nie opublikował wspomnień ani żadnego opracowania. Swoją rolę odegrał, a po paru latach jego wiedza była już nieaktualna. Żył całkowicie incognito, po operacji plastycznej i pod zmienionym nazwiskiem, a amerykański okres jego życia do tej pory otoczony jest tajemnicą. Wiadomo tylko, że zmarł w 1994 r.

Andrzej Paczkowski



Zasieki z drutu kolczastego na granicy Czechosłowacji były pod wysokim napięciem

Granica śmierci

Komunistyczna Czechosłowacja odgrodziła się od Zachodu pasmem drutów kolczastych, pól minowych i zasieków pod wysokim napięciem. W latach 1949–1989 przy próbie sforsowania tej granicy straciło życie 288 ludzi, wśród nich było 29 Polaków.

Drutowanie granicy Czechosłowacji na odcinku z Niemcami i Austrią zaczęło się w 1948 r., zaraz po zwycięskim puczu w lutym 1948 r., kiedy komuniści zdobyli tam pełną władzę. Pas graniczny tworzyły trzy pasma ochronne.

Potrójne zasieki

Pas strefy granicznej, do której wstęp był surowo wzbroniony, miał szerokość od 4 do 10 km. Oznaczało to, że przeciętny Czech

bądź Słowak nie miał wstępu do blisko 2 proc. powierzchni swego kraju, który stał się strefą chronionego pogranicza. Większość wsi w pasie pogranicznym została wysiedlona, a domostwa oraz zabudowania gospodarze w latach 1953–1959 całkowicie zniszczone, aby nie dawać schronienia potencjalnym uciekinierom. Władzę nad tym obszarem sprawowała Straż Graniczna, która – zorganizowana według modelu sowieckiego – nie była częścią jednostek obrony narodowej, jak u nas WOP, ale częścią SNB, czyli Korpusu Bezpieczeństwa Państwowego, znajdującego się w strukturach ministerstwa spraw wewnętrznych. Straż Graniczna (Pohraniční Stráž) powstała 1 czerwca 1949 r. jako jednostka o wyraźnie ideologicznie wyznaczonych celach. Jej szefem, który zasłynął z okrucieństwa i bezwzględnego stosowania wszystkich przepisów w latach 50. ub. wieku, był płk Ludvík Hlávacka, który w nagrodę za wierną służbę w 1955 r. został wiceministrem spraw wewnętrznych. Straż Graniczna miała likwidować wszystkich, którzy występowali przeciwko „ludowej demokracji”, demokratycznemu porządkowi państwa oraz zabezpieczyć państwo przed zachodnią dywersją „wszystkimi możliwymi sposobami”. Część uciekinierów została zastrzelona, zanim zdolała podejść do strefy zasieków.

W strefie pogranicznej znajdowały się trzy pasma zasieków z drutu kolczastego. Pierwsze pasmo – wysokości ok. 2 m – tworzyło linię

składającą się wyłącznie z płataniny drutu kolczastego. Drugie, wysokości 2,5 m, było najbardziej niebezpieczne, gdyż od 1953 r. było podłączone do prądu o napięciu od 3 do 6 tys. woltów. Każdy kontakt z drutem pod napięciem kończył się porażeniem prądem, a często także śmiercią. Uciekinier, który nie mógł się oderwać od śmiertelnie naładowanego drutu, ginął w męczarniach, dosłownie się smażąc. Ostatnia linia drutu kolczastego była zbudowana głównie z myślą o zwierzętach, aby nie wpadały na druty znajdujące się pod wysokim napięciem. Przed linią zasieków pozostawiono zorańne pole, ok. 20 m szerokości, aby widoczne były ślady uciekinierów. Obszar między zasiekami od 1951 r., na rozkaz ministra bezpieczeństwa gen. Karola Bačlika, był zaminowany. Operacja trwała do 1958 r. kiedy ostatecznie zaminowano łącznie 183 km granicy Czechosłowacji z Austrią i Niemcami.

Najmłodsza ofiara

Jedną z najmłodszych ofiar granicy śmierci był Polak Jan Bryżycki. Znalaziono go we wrześniu 1959 r. spalonego prądem niedaleko wioski Pernanec w powiecie Czeskie Budziejowice. Dokładna data jego śmierci nie jest znana. Jego ciało, przewieszane przez druty elektryczne, znalazł patrol straży granicznej. Było ono praktycznie całkowicie zwęglone, a identyfikacja nastąpiła na podstawie dokumentów, które leżały w torbie obok. Znajdowały się tam także mapy Polski i Europy oraz kompas. Znane są nazwiska 25 ofiar – czterech mężczyzn nie miało przy sobie żadnych dokumentów albo ich zwłoki zostały tak zwęglone, że nie zachowały się żadne ślady. Wszyscy, którzy tam zginęli, byli mężczyznami, przeważnie młodymi. Najstarsi – Edward Bilt i Franciszek Zeman mieli po 40 lat. Niektórzy mieli więcej szczęścia – przy próbie ucieczki zostali porażeni, ale przeżyli, choć zostali złapani. Doświadczenie porażenia prądem na granicy wspomina Jerzy Hryniewiecki, który w 1940 r. przedostał się do polskich jednostek walczących na Zachodzie, a później wrócił do kraju, aby w 1957 r. spróbować ucieczki przez Czechosłowację. Gdy doszedł w okolicach Czeskich Budziejowic do strefy przygranicznej, spostrzegł przed sobą wysokie zasieki. „Zasieki są za wysokie i za szerokie, wspomina, pozostaje mi tylko próba przeczołgania się pod nimi. Widzę białe izolatorki, a więc jednak. Tubylcy mieli rację. Padam na ziemię, ramię dotknęło drutu i oślniła mnie feeria światła. Otaczają mnie falujące błyski, jakie widziałem, kiedy tramwajarze spawali w nocy szyny. Ogrania mnie przemożne osłabienie, ciało w drgawkach, chce się oderwać od drutu, ale nie panuje nad mięśniami, jestem bezwładny, przez głowę przelatują obrazy, jak szybki film życia, i żałuję, że się ono już kończy”. Wśród ofiar śmiertelnych „elektrycznej granicy” byli głównie Czesi i Słowacy, ale także Polacy, Niemcy z NRD, Węgrzy i obywatele Związku Sowieckiego.

Andrzej Grajewski

PRZEZ MORZE



Żałoga kutra rybackiego, która uciekła na Bornholm w 1952 r.

Bałtyckie eskapady

W sytuacji, w której państwo limitowało wyjazdy zagraniczne, a kraj z trzech stron sąsiadował z „bratnimi państwami socjalistycznymi” wiele osób ryzykowało ucieczkę drogą morską.

W roku 1945 polska granica morska liczyła sobie 497 km, co stanowiło 14 proc. ogółu linii granicznej państwa. Również nieuregulowany status polskiej części Bałtyku sprzyjał ucieczkom. Ówczesna linia graniczna na morzu, zgodnie z rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z 1932 r., przebiegała w odległości trzech mil morskich, równoległe do brzegu lub granicy wód wewnętrznych. Morskie wody wewnętrzne stanowiły i stanowią obszar, na którym jurysdykcję sprawuje państwo nadbrzeżne w takim wymiarze, jak na całości terytorium. Do 1950 r. nie wytyczono ostatecznie granicy

morskiej państwa. Dopiero w marcu 1950 r. Dowództwo Marynarki Wojennej przedstawiło swoje stanowisko w tejże kwestii. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego optowało na rzecz 12-milowego pasa wód przyległych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych – na rzecz 3-milowego, wojsko – podobnie jak DMW – 6-milowego. Ostatecznie przyjęto 3-milowy pas wód przyległych i 3-milowy – jak przed wojną – pas wód terytorialnych.

Wydawało się, że duński Bornholm czy brzeże południowej Szwecji są na wyciągnięcie ręki. Jednostki rybackie czy statki handlowe stojące w polskich portach sprawiały wrażenie, że istnieją duże i bezpieczne możliwości nielegalnego opuszczenia kraju drogą morską. Jedną z przeszkód były jednak problemy finansowe, gdyż marynarze szwedzcy ze statków zawijających do Gdyni brali w II połowie lat 40. ub. wieku od 200 do 300 dolarów za ukrycie pasażera na gapę.

Trudne wybory

Niektórzy decydowali się na podjęcie ryzyka forsowania Bałtyku na własną rękę. Jednak Bałtyk nie był morzem sprzyjającym podejmowaniu w taki sposób ucieczek z Polski. Współcześnie jest nadal morzem niespokojnym, o dużej zmienności pogody. Jednostka niesprawna lub kierowana niewprawną ręką

mogła zdryfować. Częste mgły, opady deszczu i śniegu, oraz trudne do umiejscowienia na mapach zalodzenia sprawiały, że uciekać na własną rękę można było tylko w miesiącach wiosenno-letnich (maj–sierpień), w czasie, kiedy na morzu było najmniej szturmów. Surowe zimy w latach 1939, 1941, 1946, 1956 powodowały, że na Bałtyku zalodzenie występowało powyżej przeciętnej.

Dlatego też niektórzy uciekinierzy decydowali się na porwanie fachowej załogi jednostek rybackich i wykorzystanie jej do przetrzutu za granicę. Jeśli ktoś w połowie lat czterdziestych podjął ryzyko forsowania Bałtyku do Szwecji na własną rękę i dopisało mu szczęście, mógł liczyć na to, że jego wyczyn nie tylko pozostanie niewykryty, ale również nikt nie będzie go ścigał na morzu. Sytuacji takiej sprzyjały braki sprzętowe w Wojskach Ochrony Pogranicza (w 1946 r. WOP na Zalewie Szczecińskim posiadał dwie łodzie wiosłowe i jedną łódź motorową z przyczepnym silnikiem, WOP Gdynia – jeden holownik z Marynarki Wojennej). W kwietniu 1946 r. Marynarka Wojenna otrzymała z ZSRR 12 ścigaczy o prędkości maksymalnej 25–28 węzłów, a w następnym roku MON przekazał WOP ścigacz „Hel”. Zwiększyło to możliwości pogoni za uciekinierami.

Piraci PRL

Porwania łodzi i kutrów rybackich często przypominały sytuacje rodem z westernów. Na pokładach zdarzały się bójki z użyciem broni i innych narzędzi. Dochodziło do nich nie tylko między uciekinierami a załogą wprowadzonej jednostki, lecz również wśród samej załogi, gdy część chciała pozostać za granicą a część wracać do kraju. Od 1950 r. wprowadzono obowiązkowe malowanie na żółto kutrów rybackich w celu ułatwienia możliwości wykrycia jednostek na morzu.

Mimo to wciąż podejmowano próby ucieczki przez Bałtyk. Decydowano się na wykorzystanie jachtów, kajaków, pontonów i innych środków pływających, często własnej konstrukcji. Przechyły na morzu od 4 do 5 stopni w skali Beauforta (12-stopniowa) uniemożliwiały wykorzystanie artylerii małych jednostek do ostrzału uciekinierów podczas pogoni. Ograniczało to znacznie możliwości skutecznej reakcji na ucieczki morskie. Do tego dochodziły pozostałości wojenne choćby w postaci silnego zaminowania morza, które było przeszkodą zarówno dla uciekinierów, jak i dla pościgu.

W porównaniu z innymi uciekinierami ułatwione zadanie mieli rybacy i marynarze, którzy, wypływając w morze, mogli zejść na ląd w portach państw zachodnich. Na nielegalne opuszczenie kraju decydowali się również żołnierze. Najsłynniejszą polską ucieczką jednostki Marynarki Wojennej był rejs ORP HG-11 (ORP „Żuraw”), kiedy to 2 sierpnia 1951 r. w szwedzkim porcie Ystad z pokładu zeszło 12 marynarzy.

Piotr Semków

ALBUM UCIEKINIERZY Z PRL KATOWICE-WARSZAWA 2009

Szczególną grupę wśród uciekinierów z komunistycznego raju stanowili piloci. Otoczeni szacunkiem i podziwem społeczeństwa, uosabiali niczym mityczny Ikar odwieczną tęsknotę człowieka do wolności.

Loty na Bornholm

Tam wkrótce podjął pracę w hucie szkła, oze- nił się i doczekał liczego potomstwa.

Nie wszystkie ucieczki kończyły się szczę- śliwie. W początkach sierpnia 1952 r. sowieccy piloci patro- lujący przestrzeń powietrzną NRD zauważyli lecący w kie- runku zachodnim polski sa- molot. Za jego sterami siedział podporucznik Edward Pytko – instruktor Oficerskiej Szkoły Lotniczej. Został on zmuszony przez sowieckie myśliwce do lądowania. Niedosłzego uciekiniera przekazano stro- nie polskiej. Za zdradę ojczyzny Sąd Wojsk Lotniczych skazał go na karę śmierci. Wyrok wy- konano w końcu sierpnia 1952 r.



Pilot Zdzisław Jaźwiński

Jarecki nie wrócił

Nie zahamowało to jednak ucieczek. Już rok później, 5 marca 1953 r., w dniu, w którym to cała „postępowa część ludzkości” oplakiwała śmierć „wielkiego Wodza Rewolucji” – Józefa Stalina, młody, świeżo upieczony pilot elitarnego 28. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego Franciszek Jarecki poderwał swoją maszynę z bazy wojskowej w Słupsku i po kilku minutach lotu znalazł się na Bornholmie. Wiadomość o tym wydarze- niu obiegła wkrótce cały świat. Podziw budzi- ły umiejętności pilota, który ważącym kilka ton odrzutowcem po mistrzowsku wylądował na polowym lotnisku. Ta ucieczka miała także inny aspekt. Dzięki Jareckiemu wywiad Stanów Zjednoczonych mógł zapoznać się z konstruk- cją najnowocześniejszej wówczas radzieckiej

maszyny, MiGA-15 Bis, która w tym czasie świę- ciła tryumfy w walkach powietrznych nad Kora- eą. Amerykańscy eksperci poddali samolot gruntownym oględzinom. Kie- dy wreszcie został zwrócony polskiej armii, w niektórych jego częściach pozostały jeszcze ślady gipsowych odlewów.

Za odwagę porucznik Ja- recki został odznaczony przez generała Władysława Andersa Krzyżem Zasługi z Mieczami. Wyjechał do Stanów Zjedno- czonych, gdzie okrzyknięto go bohaterem. W uroczysto- ści jego powitania brał udział sam prezydent Dwight Eisen- hower, a Kongres specjalnym aktem przyznał mu obywatel- stwo amerykańskie. W Pol- sce za zdradę ojczyzny ciążył na nim wyrok śmierci. W 1961 r. nieznanymi sprawcami ostrzelał samochód Jareckiego. Ten zdołał jednak wyjść z zamachu bez szwanku.

Kara zbiorowa

Jeszcze nie ucichły echa ucieczki Jareckie- go, kiedy w maju jego śladem podążył pilot 41. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Malborku, podporucznik Zdzisław Jaźwiński. Pilotowany przez niego myśliwiec, podchodząc do lądowa- nia, zawadził skrzydłem o kamień, a następnie kadłubem uderzył w betonowe ogrodzenie. Chociaż pilot wyszedł z tego wypadku bez szwanku, samolot nadawał się do kapitalne- go remontu.

Druga w ciągu trzech miesięcy udana ucieczka polskiego pilota wywołała w polskim lotnictwie niespotykaną do tej pory falę re- presji. Odpowiedzialnością obarczono całą obsadę pułku. Jednostka, w której służył Jaźwiński, została rozwiązana, a jej numer wykreślono z wojskowej ewidencji. Dowódca pułku i jego zastępcy zostali zdegradowani, zaś pilotów roz- proszono po leśnych garnizonach całego kraju. Trzech dowódców eskadr aresztowano. Kary dyscyplinarne objęły nawet zamiataczy hanga- ru, w którym stacjonował samolot uciekiniera.

Surowe represje nie zapobiegły jednak ko- lejnym ucieczkom. Minęły dwa lata i na Born- holmie z „niezapowiedzianą wizytą” znów zja- wił się polski myśliwiec. W latach 1945–1989 szereg lotnictwa opuściło w ten sposób dzie- więtnastu pilotów, którzy uprowadzili ze sobą dwanaście maszyn bojowych. Chociaż wobec całej rzeszy uchodźców ci naśladowcy Ikara stanowili zdecydowaną mniejszość, to jednak wydaje się, że policzek wymierzony przez nich bolał władzę szczególnie.

Monika Bortlik-Dźwierzynska

Li- stę podniebnych uciekinierów otwiera sowiecki oficer, służący w polskim lotnic- twie wojskowym. Jego ucieczkę ukryto jednak tak szczególną zasłoną tajemnicy, że do dziś nie są znane ani jej bliższe okoliczności, ani na- wet samo nazwisko zbiega. Wiadomo jedynie, że do ucieczki doszło pomiędzy 1945 a 1947 r. Pewne jest również, że pilotowi udało się prze- dostać na Bornholm. W przyszłości ta mała duńska wyspa stała się świadkiem kolejnych brawurowych lądowań polskich samolotów.

Rozstrzelany

Zbiegiem czasu „skrzydlaci goście” z Polski zaczęli składać podobne wizyty również na in- nych skandynawskich wyspach. W marcu 1949 r. na szwedzkiej Gotlandii wylądował podporucznik Arkadiusz Korobczyński – pilot Samodziel- nej Eskadry Lotniczej Marynarki Wojennej. Korobczyński miał obywatelstwo radzieckie, lecz z pochodzenia był Polakiem. Po wojnie cała jego rodzina przeniosła się z Ukrainy do Polski. Kiedy pilotowi zakomunikowano, że niebawem zostanie deportowany na Wschód, postanowił „deportować” się sam, z tą tylko różnicą, że nie do Związku Radzieckiego, a do Szwecji.



Za ucieczkę syna zapłacił ojciec Waław Jaźwiński, który został aresztowany. Zdjęcie z kartoteki UB we Wrocławiu

ZOSTAĆ? WYJECHAĆ?

Trudny wybór poety

Rzetelny dyplomata komunistycznej Polski, wielki poeta Czesław Miłosz, nagle wychodzi z ambasady w Paryżu i już do niej nie wraca. W kraju zostaje ogłoszony zdrajcą.

Lata stalinizmu był to czas wyborów, które trudno oceniać, nie znając realiów panujących wtedy w Polsce. Ucieczka Miłosza była takim właśnie bolesnym wyborem, którego musiał dokonać późniejszy laureat literackiej Nagrody Nobla. Na podobne posunięcie zdecydowali się także inni pisarze, jak Leopold Tyrmand czy Marek Hłasko. Tyrmand wyemigrował w 1965 roku po wstrzymaniu jego kolejnej powieści przez cenzurę, Hłasko nie mógł wrócić do kraju po opublikowaniu w 1958 roku w „Kulturze” antykomunistycznych „Cmentarzy”.

Raporty z USA

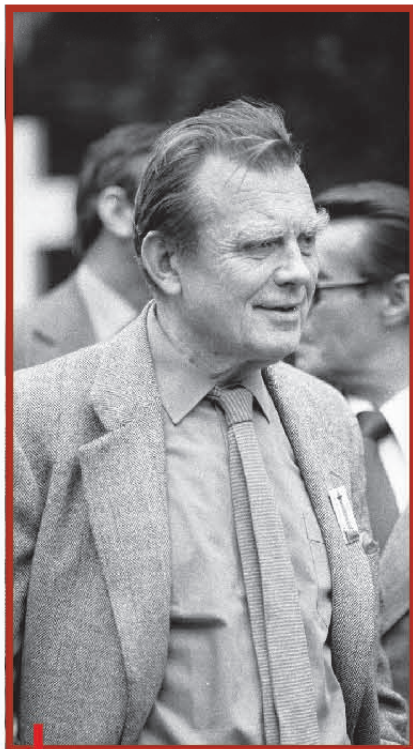
Po wojnie Czesław Miłosz został w komunistycznej Polsce urzędnikiem dyplomacji i przez pięć lat lojalnie wypełniał swoje obowiązki. Wydawało mu się wówczas, że nowy ustrój przynosi pozytywne zmiany. Chwalił reformę rolną, rozwój przemysłu, rzesze młodzieży na uniwersytetach.

Początkowo pracował w Stanach Zjednoczonych jako doradca kulturalny. Jak sam mówił, była to jednak praca „rzekomego dyplomaty”. W rzeczywistości czytał i analizował prasę amerykańską, i odwołując się do niej, sporządzał raporty o sytuacji w USA, które trafiały do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W wolnym czasie pisał i publikował, uważając to za swoje najważniejsze zajęcie.

Przełom

Wszystko zmieniło się w r. 1949. W czasie wakacji w Polsce Miłosz dostrzegł istotę systemu. Uświadomił to sobie, wracając z bogatego przyjęcia, gdy zobaczył wojskowe auta wiozące przemarzniętych więźniów. Wspomina o tym w rozmowach z Aleksandrem Fiutem. Zrozumiał, że żył wśród nielicznych uprzywilejowanych, oderwany od świata zwykłych ludzi. Dla niego, jako dla poety, było to stwierdzenie szczególnie bolesne. Wrócił do Ameryki



W czerwcu 1981 r. Czesław Miłosz po 30 latach znów przyjechał do kraju

załamany, myślał o ucieczce, ale emigranci odradzali mu podobny wybór.

Wkrótce przyszedł list. Jerzy Putrament, ówczesny sekretarz Związku Literatów Polskich, zaproponował Miłoszowi przeniesienie się do Paryża. Po długim wahaniu Miłosz zgodził się, choć jak sam mówił, wszystko, co robił Putrament, było podejrzane. Wyjechał do Francji, zostawiając na wszelki wypadek w Stanach Zjednoczonych ciężarną żonę z dzieckiem.

Na Boże Narodzenie 1950 r. został wezwany do Warszawy. Zdecydował się przyjechać. Myślał, że nic mu nie grozi. Sądził, że miał dobre notowania jako człowiek pewny i uodporniony na pokusy zachodniego świata.

Ważny sylwester

Po przyjeździe zatrzymano mu jednak paszport. Zrozumiał, że jest obserwowany. Symbolem atmosfery tamtych lat mogą być słowa poety z jednego z wywiadów: „w Polsce nie prowadziło się wtedy szczerych rozmów”. Czuł, że wyznacznikiem jego losów miała się okazać ostatnia noc 1950 roku. Decyzja o tym, gdzie się pojawi na przyjęciu, była wyborem politycznym. Swoistym określeniem się.

Wiedział, że jeśli pójdzie na sylwestra organizowanego przez Związek Literatów Polskich, zaakceptuje wszystko, co tworzył tam Putrament, jego politykę podporządkowywania poetów i pisarzy obowiązującej komunistycznej ideologii. Zdecydował inaczej. Spędził tę noc w towarzystwie osób „jak najmniej odpowiednich”: Watów i Parandowskich.

Mimo to udało mu się odzyskać paszport dzięki Zygmuntovi Modzelewskiemu, komuniste starej daty, kończącemu urzędowanie ministrowi spraw zagranicznych. Zdawał on sobie sprawę, że Miłosz może już nie wrócić, jednak paszport mu załatwił.

Emigrant, czyli zdrajca

W styczniu 1951 roku poeta wrócił do Paryża, a w lutym po prostu nie odebrał już pensji. Przez kilka następnych miesięcy przebywał pod skrzydłami „Kultury”. Jerzy Giedroyc starał się dla niego o azyl.

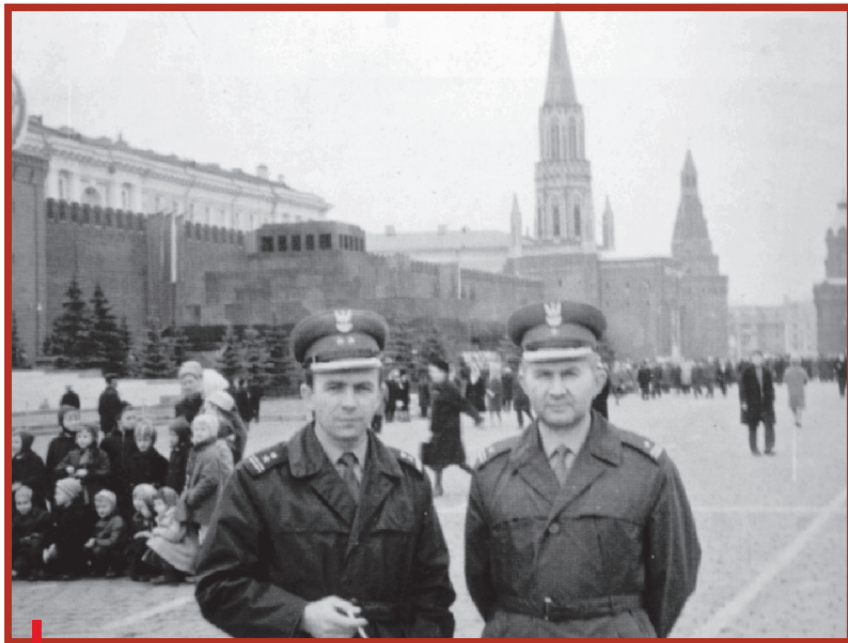
W 1951 roku Miłosz napisał swój słynny później esej polityczno-filozoficzny „Zniewolony umysł”, opisujący różne wybory i moralne pisarzy w komunistycznej Polsce oraz przemiany zachodzące w powojennym polskim społeczeństwie. Swoją decyzję pozostania na Zachodzie tłumaczył w artykule „Nie”, na łamach „Kultury”. Napisał, że starał się dobrze wypełniać swoje obowiązki do czasu „gdy postanowiono mnie, tak jak i innych pisarzy, ochrzcić. Wtedy powiedziałem: Nie”.

W Polsce został wyklety przez innych literatów. Zaczęły ukazywać się potępiające go teksty. Jarosław Iwaszkiewicz pisał, że Miłosz trafił na łamy neohitlerowskiego pisma, na jednej stronie z Własowem. Konstanty Ildefons Gałczyński stworzył „Poemat dla zdrajcy”, „Szerzej okna! Świat otwiera! Wierszu mój, ognia! W pysk deztertera!”. Trudno teraz oceniać postawy tych, którzy pisali takie paszkwile. Wtedy ludźmi rządził trudny dzień do wyobrażenia strach.

Wybór, przed którym stanął Miłosz, to była tragedia całego polskiego środowiska literackiego. Nie było dobrego wyboru. Można było pozostać w kraju i dzielić trudy ze społeczeństwem, dla którego poeta powinien tworzyć. Musiałby jednak pisać teksty poprawne ideologicznie. Drugą drogą był los emigranta. Emigranta potępionego w kraju. Piszącego utwory zgodnie ze swoim sumieniem, ale bez możliwości przekazania ich treści ludziom, którym poeta powinien służyć. W komunistycznej Polsce Czesław Miłosz został skazany na zapomnienie. Polacy usłyszeli, że ktoś taki istnieje i jest doceniany na świecie, dopiero gdy otrzymał Nagrodę Nobla w 1980 roku.

Adam Śliwa

PIERWSZY POLAK W NATO



Ryszard Kukliński (z lewej) na Placu Czerwonym w Moskwie jako oficer LWP

Porażka GRU

7 listopada 1981 roku sowiecki aparat bezpieczeństwa poniósł jedną ze swych największych porażek. Amerykanom udało się bezpiecznie wywieźć z Warszawy płk. Ryszarda Kuklińskiego, który od lat przekazywał im najtajniejsze sekrety Układu Warszawskiego.

Atomowa pustynia

Pułkownik Kukliński był szefem Oddziału I Planowania Strategiczno-Obrończego oraz zastępcą szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego. Współpracę ze Stanami Zjednoczonymi rozpoczął na początku lat 70. ub. wieku. Przez CIA był prowadzony jako Jack Strong. Dostarczył Amerykanom dokładne plany ataku wojsk Układu Warszawskiego na Europę Zachodnią i następnie jej okupacji. W ich ramach LWP pod wodzą Jaruzelskiego miało atakować Danię i RFN. Pierwszego dnia rozpętanej przez Moskwę wojny tysiące czołgów i pojazdów zmechanizowanych natarłyby na terytorium zachodnich Niemiec. Moskiewscy strategzy przewidzieli udział LWP w pierwszym rzucie, gdzie zawsze straty są największe. Jak planowano, dzięki zaskoczeniu wojsk NATO i przełamaniu ich pozycji natarcie miało się posuwać z szybkością 50 kilometrów w ciągu dnia. Przewidziano także użycie taktycznej broni jądrowej i chemicznej. Kłamstwem okazały się propagandowe hasła o obronnym charakterze Układu Warszawskiego. Jest oczywiste, że Zachód w takiej sytuacji broniłby się, ale jego siły konwencjonalne były zbyt słabe, musiałby więc odpowiedzieć bronią atomową. Jej celem na pewno nie byłoby terytorium Związku Sowieckiego, gdyż wywołałoby to konflikt światowy. Zachód nie uderzyłby również w terytorium NRD ze względu

na udział RFN w NATO. Jądrowy kontratak skierowany byłby zatem na pozycje, z których szłoby natarcie Układu Warszawskiego, czyli na ziemię polską, które zamieniłyby się w atomową pustynię. Płk Kukliński, wiedząc o tym, przekazał te plany Zachodowi i tym samym uratował Polskę przed takim losem.

Jeden jak trzydziestu

Ogółem w ciągu dziesięciu lat przekazał on Amerykanom 35 tys. stron dotyczących sił zbrojnych Związku Sowieckiego i Układu Warszawskiego. Wśród nich – poza planem sowieckiego ataku na zachodnią Europę – dane techniczne wielu sowieckich konstrukcji wojskowych. O wadze tych informacji świadczy fakt, iż otrzymywało je w USA tylko 5 osób: prezydent, wiceprezydent, sekretarz stanu, sekretarz obrony i doradca ds. bezpieczeństwa. Niektórzy specjaliści CIA byli przekonani, iż informacje dostarczane wyłącznie przez Kuklińskiego pochodzą z 30-osobowej siatki agentów działającej w Warszawie.

Jesienią 1981 roku pułkownik znalazł się w kilkuosobowym kręgu oficerów podejrzanych o przekazywanie informacji USA, także planów stanu wojennego. Jedynym ratunkiem stał się wyjazd wraz z rodziną za granicę. Uczynił to już w momencie stałej inwigilacji. Nocą wsiał w podłogę samochodu przez amerykańską ambasadę w Berlinie Zachodnim, aby opuścić kraj, aby w Berlinie Zachodnim spotkać podobnie ewakuowanych żonę i dwóch synów. Tyle oficjalna legenda opuszczenia PRL przez Kuklińskiego. Prawdziwej wersji z pewnością nie poznamy nigdy, takich szczegółów nie ujawniają żadne służby na świecie.

Jarosław Szarek



Płk Kukliński i marszałek Dmitrij Ustinow

William Casey, były szef Centralnej Agencji Wywiadowczej, w liście do ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana napisał: „Nikt na świecie w ciągu ostatnich 40 lat nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak”. Sowietom nie darowali tego „pierwszemu polskiemu oficerowi w NATO”. Jego dwaj synowie zginęli w okolicznościach wskazujących, że mogło to być zabójstwo.

PASZPORT W JEDNĄ STRONĘ



13 maja 1982 r., kwietny krzyż na placu Zwycięstwa w Warszawie był symbolem oporu wobec stanu wojennego

Podczas stanu wojennego władze PRL rozpoczęły specjalną akcję przymuszania do emigracji działaczy związkowych i opozycyjnych, która łącznie objęła kilka tysięcy osób.

Pomysł pozbycia się części przeciwników politycznych przez mniej lub bardziej wymuszoną emigrację zrodził się rok wcześniej, a inspiracja przyszła... z Kuby. W 1980 r. rząd Fidela Castro zadeklarował, że każdy, kto chce opuścić kraj, może odplynieć ze wskazanego portu. W ciągu kilku miesięcy zrobiło to 125 tys. uciekinierów, w tym kilka tysięcy kryminalistów, których Castro celowo zwolnił wtedy z więzień. Bardzo spodobało się to gen. Jaruzelskiemu, który stwierdził: „dobrze gdyby część »bandziorów« [tzn. działaczy »Solidarności«] uciekła na Zachód. Szkoda, że nie mamy wspólnej granicy z państwami kapitalistycznymi. Niechby uciekło kilka tysięcy, tak jak zezwolił na to Fidel, wtedy byłoby nam znacznie łatwiej”.

Stan wojenny stworzył dla pomysłu sprzyjające warunki. W przemówieniu sejmowym ze stycznia 1982 r. Jaruzelski oświadczył: „Osoby, które nie zechcą zaniechać nielegalnych poczynań, pozostaną w izolacji [...] Niebędziemy [...] stawiać przeszkód, gdy osoby te zechcą

osiedlić się w innych, wybranych przez siebie krajach”. Przypomnijmy, że składał tę wielkoduszną ofertę ludziom zamkniętym w więzieniach i obozach. „W więzieniu zaczęły się wtedy wielkie dyskusje – wspominał potem jeden z nich. – Niektórym było tam bardzo ciężko. Możliwość zmiany sytuacji, że teraz są w celi, lecz wystarczy prosta decyzja, żeby znaleźli się w miejscu takim jak Kalifornia, była pociągająca”. „Żona, nachodzona przez władze, miała już dość, nie wytrzymywała tych ciągłych inwigilacji – wspominał internowany działacz ze Śląska. – Zaczęłam odczuwać,

Generał

że ja w więzieniu mam większy spokój niż ona na wolności. [...] nie chciałem przedłużać jej udręki”. Na wzór kubański, obok działaczy opozycyjnych objęto akcją kryminalistów. Ich hałaśliwą obecność w ośrodkach dla azylantów odnotowały potem zachodnia prasa i policja.

Bilet w jedną stronę

Później, po zwolnieniu, internowanych przekonywano do wyjazdu sprawdzonymi metodami: szantażem, szykanami i groźbami. Jeden z nich wspominał: „Byłem wzywany i przesłuchiwany pod byle jakim pretekstem. Straszono mnie... Konfidenci SB mnie śledzili... Ja i rodzina od wprowadzenia stanu wojennego nie mieliśmy chwili spokoju. Dlatego, choć z bólem serca, wyemigrowaliśmy z kraju”. Inny pisał: „Wezwania na przesłuchania, rewizje w domu, kontrolowanie na ulicy w mieście, itd. [...] zostałem zwolniony z pracy bez podania jakichkolwiek przyczyn, po prostu wyrzucony na bruk [...] i nie mogłem otrzymać pracy w innym zakładzie”. Niektórzy zdecydowali się na wyjazd, straciwszy wszelką nadzieję na zmiany w Polsce, w poczuciu, że „zmarzną tu życie”, albo rozgoryczeni apatią, którą znaleźli w swym środowisku: „Zaczęłam myśleć o wyjeździe, bo uznałem, że wszystko stracone, że to koniec »Solidarności«”. Decyzje o wyjeździe poprzedzały często głębokie rozterki. „Miałam poczucie, że dezerteruję, korzystając z możliwości wyjazdu na papierach



Wojskowe grupy operacyjne nadzorują skup trzody chlewnej. W stanie wojennym władza poradziła sobie z opozycją polityczną, ale problemów zaopatrzenia nie udało się jej rozwiązać

nie stawia przeszkód

uchodźcy” – wspomina jedna z internowanych. Jeśli niektórzy przyjęli możliwość wyjazdu z PRL z ulgą, to i tak ich emigrację można nazwać wymuszoną, a ich samych uchodźcami.

Wyjeżdżającym wydawano paszporty z wyraźnie zaznaczonym „prawem jednokrotnego przekroczenia granicy polskiej”. Był to więc bilet w jedną stronę, swego rodzaju akt banicji (przynajmniej czasowej) – kara odrzucona przez prawo międzynarodowe i sprzeczna z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka. Znaczna większość „dobrowolnych banitów” złożyła wnioski wyjazdowe w 1982–1983 r., lecz akcja trwała niemal do schyłku PRL. Łącznie o zezwolenie na wyjazd wystąpiło blisko 95 tys. osób, w tym 2218 (byłych) internowanych, 815 innych działaczy opozycji oraz 410 kryminalistów. Resztę stanowili członkowie ich rodzin. Było wśród nich 36 członków Krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarności” i 307 członków jej władz regionalnych, 66 członków KPN i 39 KOR; dominowali działacze niższego szczebla i szeregowi członkowie związku. Sukces SB był jednak połowiczny, bowiem z 8,3 tys. osób, które dostały zgodę na wyjazd, opuściło Polskę niespełna 4,4 tys. (w tym 2119 internowanych, 613 innych opozycjonistów i 319 kryminalistów), czyli połowa uprawnionych.

Dobrowolne wyjazdy przymusowe

Największa grupa emigrantów pochodziła z Górnego Śląska. Katowicka SB już przed 1980 r. używała tej metody wobec działaczy opozycyjnych i „nosicieli niemieckiego rewizjonizmu”, a w 1982 r. stosowała ją ze szczególnym upodobaniem. Co ważniejsze, tutaj właśnie represje w stanie wojennym były szczególnie



FAP/ANDRZEJ RYBCZYŃSKI

1.05.1983 r., atak ZOMO na demonstrantów pod katedrą św. Jana Chrzciciela w Warszawie

silne: tu zatrzymano najwięcej internowanych (blisko 20 proc. ogółu), tu padło najwięcej ofiar śmiertelnych, a bicia, fizyczne i psychiczne znęcanie się nad zatrzymanymi i ich rodzinami były na porządku dziennym. W takich okolicznościach prześladowanym trudniej było odrzucić ofertę esbeka. „Musiało być źle – wspominał wielokrotnie pobity górnik z Jastrzębia – jak już takie proste milicjanty powiedzieli mi: – Ty, Czerwonka, spierdz... bo nie masz wyjścia. Bo cię tu załtuką [...], załtuką jak psa!”. Z popychającą do wyjazdu siłą represji zbiegły się w tym regionie siły przyciągające: emigracja była tu znaną strategią życiową, wiele osób miało za granicą rodziny i znajomych, i mogło liczyć na status Aussiedlera w RFN, czyli niemieckie obywatelstwo i znaczącą pomoc finansową na starcie.

Skutecznością wypychania z kraju wykazały się też esbecy z Wrocławia, którzy pozbyli się aż 30 członków zarządu regionu i 7 członków KKP „Solidarności”. Nieco gorszym, ale znaczącym wynikiem wykazała się SB ze Szczecina, Gdańska i Warszawy. Nie powinna też być zapomniana gorliwość esbeków z Łodzi, którzy nakłonili 14 członków KKP, 14 zarządu regionu i 13 KOR, i z Kielc, którzy w 1982 r. przymusili do wyjazdu ponad 30 proc. internowanych ze swego województwa.

Pomimo krytyki, którą akcja ta ściągała na PRL na forum międzynarodowym, motywy Jaruzelskiego i Kiszczaka nie są trudne do zrozumienia. Dobrowolny jakoby wyjazd działacza opozycji, zwłaszcza znanego, służył nie tylko pozbyciu się go z kraju, ale też skompromitowaniu „dezertera” w oczach szeregowych członków i sympatyków „Solidarności”, a szerzej – osłabieniu spistości i moralnej przewagi ruchu. Temu właśnie miała służyć oferta zwolnienia za granicę 11 więzionych przywódców opozycji, którą władze przedstawiły jesienią 1983 r. przedstawicielowi episkopatu. Plan ten upadł, gdy Adam Michnik odpowiedział na ofertę obraźliwym listem do Kiszczaka (nazwał go więziennym nadzorcą, durniem i świnią), który szybko ogłosiło Radio Wolna Europa i podziemna prasa. Demonstracyjna odmowa Michnika była czytelnym sygnałem – nie tyle dla Kiszczaka, ile dla innych uwięzionych i działaczy opozycji pozostających na wolności – że z oferty wyjazdu korzystać nie należy.

Dariusz Stola

Dariusz Stola jest historykiem w Instytucie Studiów Politycznych PAN i profesorem Collegium Civitas w Warszawie.

UCIECZKA Z ZAMKNIĘTEGO KRAJU

dodatek specjalny do „Gościa Niedzielnego”
 przygotowany przez IPN i zespół GN

REDAKTORZY WYDANIA:

ANDRZEJ GRAJEWSKI (GN), ADAM DZIURK (IPN)
 FILIP MUSIAŁ (IPN)

PROJEKT GRAFICZNY: WITOLD MORAWSKI

ZDJĘCIA NA OKŁADCE:

UCIEKINIEM PORAZONY PRĄDEM NA GRANICY
 CZECHOSŁOWACJI. UVD PRAHA

© INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

– KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWO
 NARODOWI POLSKIEMU 2010

BRAWUROWA UCIECZKA NASTOLATKÓW



ALBUM UCIEKNIĘTY Z PRŁ. KATOWICE-WARSZAWA 2009

Krzysztof i Adam Zielińscy świętują 16. urodziny Adama (gasi świecek) w Szwecji

Do dziś nie wiem, dlaczego mój brat Adam zadał mi to pytanie. Pomagałem mu układać deski, gdy nagle usłyszałem: „Uciekamy na Zachód?”. Bez sekundy zastanowienia odpowiedziałem: „Tak”.

Dzieciństwo, jak dziś wspominam, miałem szczęśliwe. Brak zabawek rekompensowała wrodzona fantazja i liczba rodzeństwa. Urodziłem się jako trzecie z ośmiorga dzieci. Mieszkaliśmy we wsi Żyraków, w pobliżu Dębicy. Ojciec prowadził zakład betoniarzski i z tego utrzymywał rodzinę. Nie przelewało się, ale też nie odczuwaliśmy biedy.

Tirem za morze

Do końca nie wierzyłem, że Adam naprawdę chce uciekać. Myślałem, że to kolejny żart starszego brata (miał wówczas 16 lat, ja 13). Tego dnia, gdy podjeliśmy decyzję o ucieczce, odbyło się krótkie spotkanie u dwóch kolegów, które zaowocowało spisaniem w trzech egzemplarzach dokumentem. W razie udanego przekroczenia jakiegokolwiek zachodniej granicy mieliśmy otrzymać sto dolarów. Ot, taki głupi szczeniacki zakład. Na drugi dzień przystąpiłem do działania. Moim zadaniem było sfiansowanie podróży nad morze. Na książeczce SKO (Szkolna Kasa Oszczędnościowa) miałem ponad cztery tysiące złotych, a sprzedaż spodni moro i torby do maski przeciwgazowej, wtedy kultowych przedmiotów, dało kolejne trzy.

A może samolotem?

W środę 23 października 1985 roku jak zawsze grzecznie położyliśmy się spać.

Po dziesiątej wstaliśmy po cichu, założyliśmy ubranie i do torby włożyliśmy wcześniej przygotowane zapasowe spodnie i swetry. Napiurku zostawiliśmy list do rodziców, w którym napisaliśmy, że wiemy, iż tą ucieczką sprawimy im wiele kłopotów i przykrości, ale mieliśmy pewien powód, aby tak postąpić. Zapewniliśmy, że nie uciekliśmy dlatego, że było nam źle w domu, i że wrócimy za trzy dni. Prosiłiśmy także rodziców, by nie wzywali przez ten czas milicji. Autobusem dojechaliliśmy na stację kolejową w Dębicy i zakupiliśmy bilety na ekspres z Przemyśla do Warszawy. Wszystko toczyło się jak we śnie. Ciągle wydawało mi się, że zaraz porzucimy ten ucieczkowy pomysł i wrócimy do domu. Dopóki pociąg stał na peronie, była na to szansa. Kiedy ruszył, nieodwracalnie zmienił bieg wydarzeń.

Podróż do Warszawy była koszmarem. Pociąg był pełen pijanych rekrutów, więc

BRAWUROWA UCIECZKA NASTOLATKÓW

spaliśmy na podłodze w korytarzu. Co chwilę budziłem się ze snu w panice, co zrobili rodzice, kiedy odkryją naszą nieobecność, co pomyślą nauczyciele, co ksiądz. Nad ranem dojechalismy do Warszawy. Pamiętam eks-cytację, gdy na Dworcu Centralnym po raz pierwszy w życiu wjeżdżaliśmy z peronów na górę schodami ruchomymi. Musielismy powtórzyć tę zabawę kilka razy, oczywiście udając powagę, że niby zapomnieliśmy czegoś na peronie. Drugą niespodzianką były drzwi otwierające się na fotokomórkę przy wyjściu z dworca. Raz po raz wchodząc i wychodząc tymi drzwiami, czuliśmy powiew nowoczesności i z zapowiedź nowego życia. Pojechalismy na lotnisko Okęcie z zamiarem oceny możliwości ucieczki w podwoziu samolotu do USA. Z tarasu widokowego obserwowaliśmy, w jaki sposób przyjmowane i odprawiane były samoloty. Pomysł szybko uznaliśmy za chybiony, ilość wojska na pasie startowym była taka, że nawet mysz by się nie prześlizgnęła. Chyba dobrze się stało – ucieczki w podwoziu samolotów zwykle kończyły się zamazaniem uciekiniera.

Do tirów nad morze

Wieczorem następny pociąg wiozł nas do Świnoujścia. Pierwszy raz nad morzem. Musielismy koniecznie przejść się plażą, zanurzyć ręce i posmakować wody, czy aby słona. W ciągu dnia obserwowaliśmy port, a napotkanych rówieśników wypytywaliśmy o promy, czasy odpyływów. Na parking przed odprawą celną stały zaparkowane tiry, zarówno te zjeżdżające z promu, jak i te czekające na odprawę. Ilość WOP-istów była proporcjonalna do bliskości granicy z NRD i bazy wojska radzieckiego w tej okolicy. Zawsze obecny był pies do tropienia przemytu. Adam stwierdził, że będziemy zmuszeni do obłania się benzyną, by zmylić trop. Jak się później okazało, na szczęście w dniu naszego przejazdu przez granicę pies był chory. Oglądając tiry, wiedzieliśmy, że musi tam być miejsce do ukrycia. Ojciec miał ciężarówkę Star 80 w domu, w której się często chowaliśmy. Wybór padł na tira z polską rejestracją, który miał najniższe podwozie, bo to dawało więcej osłony przed oczami celnika.

Wieczorem poszliśmy na położoną w pobliżu stację kolejową z zamiarem przespania się na ławce. Wiedzieliśmy, że prom do Szwecji odpyływa o 15 następnego dnia, a że był już pierwszy przymrozki, wizja spędzenia nocy bez ruchu w podwoziu naczepy tira nie była atrakcyjna. Właśnie wygodnie rozpostarłem się na ławce, gdy podszedł do nas WOP-ista i zażądał dokumentów. Adam podał mu legitymację szkolną i wyjaśnił, że wracamy właśnie od cioci do Warszawy. WOP-ista podejrzliwie spytał o godzinę odjazdu pociągu i poinformował nas, że lepsze połączenie będziemy mieli, jadąc przez Szczecin,

i że pociąg do Szczecina właśnie stoi na peronie. Chcieliśmy wyskoczyć z drugiej strony pociągu, ale te plany pokrzyżował nam sumienny WOP-ista, który bacznie stał na zewnątrz i oglądał nasze poczynania. Pomachaliśmy mu na pożegnanie, a kilometr dalej wysiedliśmy i na piechotę dotarliśmy do punktu wyjścia. Przekradłszy się obok stacji kolejowej, w krzakach włożyliśmy na siebie wszystkie ubrania, jakimieliśmy w torbie.



Prasa szwedzka obszernie informowała o ucieczce braci Zielńskich

podbiegliśmy pod autopatrny pojazd. Na czworakach pełzaliśmy pod podwoziem naczepy w miejsce zawieszenia kół. Pomiedzy osiami i dnem naczepy było wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić dwóch niezbyt roslých chłopców. Jedna oś podtrzymała pierś, druga brzuch, a trzecia łydki. Głowę trzeba było wkręcić pomiędzy różne rurki do przewodów hydraulicznych.

No i zaczęło się. Długie oczekiwanie na godzinę 15 następnego dnia. Było straszliwie zimno. Temperatura spadła poniżej zera, a my nie byliśmy na to przygotowani. Pamiętam do dziś to wiercenie się, krótki niespokojny sen i przebudzenie się z zimna, sikałem w spodnie, to były jedyne chwile, kiedy przez moment czułem ciepło.

Latarką w oczy

W końcu zaczął się dzień. Co chwila obok nas przejeżdżały na prom inne ciężarówki, minuty zdawały się wiecznością. Wreszcie i my ruszyliśmy, niestety nie wprost na prom, tylko do miejsca, którego najbardziej się obawialiśmy – na kanał do przeglądu podwozia.

Kierowca zatrzymał pojazd, zgasił silnik i zostawił nas wiszących na osiach, widocznych

od spodu jak na dłoni. Pojawił się wąsаты celnik. Z uniesioną latarką świecił po wszystkich kątach. Przygotowałem się na najgorsze i nawet wymyśliłem frazę powitalną – „Dzień dobry panu”. Latarka przez moment oślepiła mi oczy, byłem pewien, że zobaczę moją twarz, ale nic się nie wydarzyło. Przeszedł, pogwizdując sobie pod nosem. Pomyśleliśmy, że może wyszedł, by zawołać WOP-istów. Nagle znów światło latarki. Celnik wraca. Przechodzi, świecąc po oczach, i nic. Ku naszemu zdumieniu, uldze i radości silnik startuje i jedziemy. Po pięćdziesięciu metrach znów stop. Słyszymy nawoływania WOP-istów i odgłosy wojskowych butów. Przed szparę w metalowej ramie podwozia widać żołnierzy otaczających pojazd. Koniec z nami. Widocznie nie chcieli robić szumu na granicy i teraz nas wyciągną. Burta opada i słychać, jak ktoś chodzi w środku naczepy. Leżymy i widzimy fragmenty mundurów. Burta idzie w górę, silnik odpala i ruszamy.

Wy-promowani

Malowany na zielono pokład promu uświadamia nam, że granica jest przekroczona. Padam ze zmęczenia i zasypiam, wreszcie jest cieplej. Jesteśmy tak brudni od błota i smarów z podwozia, że wyjście na zewnątrz jest niemożliwe. Zasypiam ponownie. Budzi mnie dźwięk odpalnego silnika i widzę, jak tir podjeżdża, staje, podjeżdża. Potem tor kolejowy. Zasypiam. Ponownie otwieram oczy, kiedy naczepa jest odcepiona od ciągnika. Adam szturcha mnie i mówi, że wychodzimy. Nie wiemy, gdzie jesteśmy, prom mógł równie dobrze popłynąć do NRD. Powoli wygrzebujemy się spod naczepy i rozglądamy za policję lub wojskiem. Nikogo nie ma. Oślanając na wszelki wypadek twarz brudnymi kurtkami, biegniemy w kierunku pobliskiego wiaduktu nad torami. Nikt nas ściga. Zwalniamy bieg i rozglądamy się po okolicy. Jest ciemno i błądzimy w kierunku świateł. Podchodzimy do drogi i widzimy przejeżdżające samochody, czyste, zagranczne. Niedaleko czyste, wypielegnowane wille. Jesteśmy za granicą. Na zachodzie. Udało się. Wolność.

Epilog

Naiwnie wystąpiliśmy o azyl polityczny. Dwie odmowy szwedzkiego Urzędu Imigracyjnego oraz aktywność środowisk solidarnościowych nagłośniły nasz wyczyn. Rodzice szantażowani odebraniem praw rodzicielskich przez sąd polski nie poddali się presji żądania wydalenia nas ze Szwecji. Gdy prawomocnym wyrokiem polski sąd odebrał prawa rodzicielskie naszym rodzicom, rząd szwedzki z Olofem Palme na czele podjął pozytywną dla nas decyzję. Zaopiekowała się nami przez pewien czas polska rodzina, a gdy miałem piętnaście lat, rozpocząłem samodzielne życie.

Krzysztof Zielński

Wspomnienie zostało spisane specjalnie na potrzeby tego dodatku.



A GRUDNIEM
Krakowie
h 1980-1981

Kolebka Solidarności

1980-1989

25 lat

SOLIDARNOSĆ

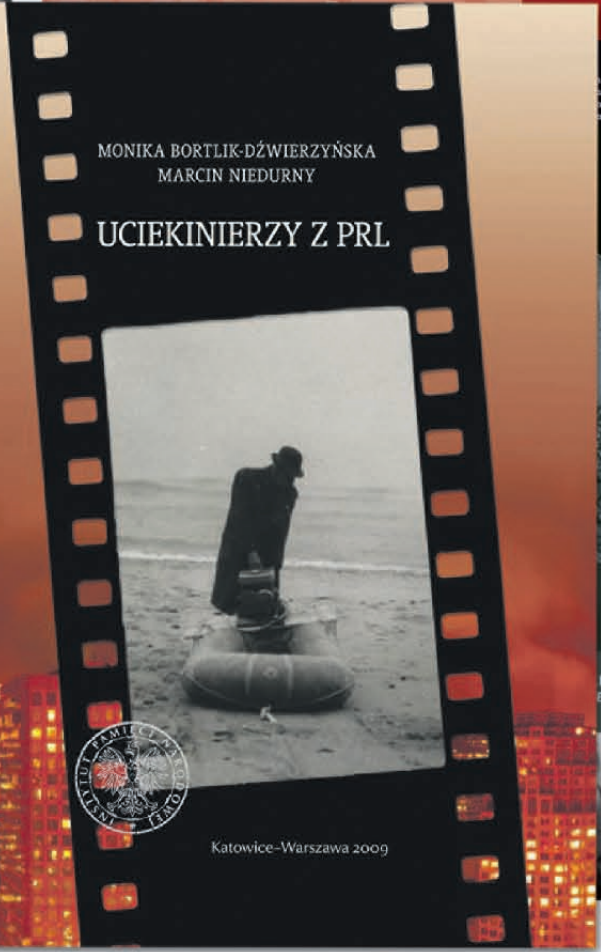
ENCYKLOPEDIA SOLIDARNOŚCI
OPOZYCJA

NSZZ
SOLIDARNOSĆ
1980-1989



MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH
KRYPTONIM „KLAN”
SZYBKA BEZPIECZEŃSTWA
WOBEK NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W GDAŃSKU
TOM I

SPRAWA OBIEKTOWA KLAN



MONIKA BORTLIK-DŹWIERZYŃSKA
MARCIN NIEDURNY

UCIEKINIERZY Z PRL



Katowice-Warszawa 2009



STE I
PIE I WSPOMNIEN
ERZEGO POPI



KRONIKA 10 LAT



NOWOŚCI IPN



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**